12. NUMER. CZERWIEC 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Faustyna Morzycka.

(*Wspomnienie pośmiertne*).

Podnieśli trumnę... Zaczerniała nad obłokiem jasnych wiosennych kwiatów, ogromnej kwiatów powodzi, która spłynęła ku niej z serc przyjaciół, tu jeszcze pozostałych...

Ona sama kochała kwiaty... i była jak kwiat... jak kwiat...

Nosiła na płatkach swoich tylko piękne, żywe, młode i świeże barwy życia... i w kielichu swoim miała tylko te najsubtelniejsze, te najpiękniejsze wonie... które czarują i poją...

Była jak kwiat... Nie śmiało się tej duszy nic, co piękna nie mieściło w sobie... Była jak kwiat... otwierała się tylko ku jasności, ku słońcu, ku niebu...

Na tę duszę — kwiat, patrzyli ją otaczający. I kto na nią spojrzał, widział piękny kształt, cieszył się barwą i nie myślał, nikt nie pomyślał, aby inaczej być kiedy mogło. Jej przeznaczeniem było kwitnąć w ogrodach życia, w tych ogrodach, gdzie wszystko odnaleść można — od najbujniejszego, rozpostartego ku niebu silnymi konarami dębu — aż do oślizłych, brzydkich, szarych, na zimnych, wilgotnych kamieniach narosłych pleśni.

Na kwiat — duszę patrzył każdy i każdy się widokiem jego cieszył...

To była jedna strona jej życia, strona w którą ona całą swą siłę włożyła: żyć tak, aby z życia jego radość innym wykwitła.

A ona sama: a jej własne czucie, a jej własne radości, a jej własne bóle?...

Żyła przecież na świecie raz tylko i to jedno, jedyne jej życie, winno było dla niej samej, dla jej wnętrznej istoty zakwitnąć w barwę życia i kształt pełny.

I ona, która zawsze dla wszystkich innych oczu i dla wszystkich innych serc była kwiatem... czyli w głębi duszy swojej i w głębi serca swego znalazła nieco barwnego szczęścia dla siebie, dla siebie samej?...

* * *

Umarła Faustyna Morzycka. Parę zaledwie drobnych danych znam z jej życia...

Córka powstańca urodzona i wychowana w poezji smutnych, ciężkich jak kajdany skazanego czynów. Sama niezwykle wrażliwa, niezwykle piękna — wyciągnęła ręce własne słabe, bezbronne — ku temu światu, który na progu życia ujrzała. Miała talent literacki i miała jakiś tłumiony ciągle ogień w oczach.

O swoim talencie literackim mówiła: jest przecież za mały, aby nim żyć..., pisać trzeba dla ludu, praca ta iść winna w pierwszym rzędzie... Pożar w jej oczach przygasał, chował się w jakiś głąb, mgiełka melancholji, jakiegoś bardzo głębokiego smutku na źrenice schodziła...

— Trzeba pisać dla ludu... I pisała ładne, proste, nauczające, pożyteczne książeczki i dawała lekcje, zakładała ochrony, wygłaszała odczyty...

Widziałam ją kiedyś, gdy wracała ze wsi, z odczytu... Jej biedne, chore już, zmęczone ciało zdawało się wypowiadać posłuszeństwo... Bardzo się dziś zmęczyłam, utrzęsłam się na wozie, bo kolej już tam nie szła, a trzeba było jechać... To nic... to nic dodała po chwili, słuchaczy było tyle — wrażenia moje były takie...

W szufladzie jej stolika, w biednym, małym pokoju, który zajmowała w tych ostatnich kilku miesiącach tułaczki, leżał rękopis dramatu... Opowiadała o nim... mówiła jak o czemś bardzo drogiem, ale mówiła z wielką nieśmiałością:

— Inni piszą, wyrósł u nas Żeromski, Wyspiański, ci wszyscy wielcy...

Patrzyła na nich z podziwem i z wiarą... kiedyś tylko, kiedyś tylko westchnęła.

— Jak w życiu strasznie ciężko...

Ale to był głos przytłumiony już zaraz siłą największej woli. Na ustach znowu wykwitł ten sam uśmiech, który za wszelką cenę na te usta był wywoływany...

Znałam ją nie wiele... Miała w sobie ta postać kobieca: ta dusza kobieca dziwny urok, ten urok, który powszechnie się kobiecością zowie... Miękkość niesłychaną linji, słodycz niesłychaną głosu i spojrzenia...

Ach, jakże było miło spojrzeć na nią...

A wszystko jej, jej własne, do niej tylko wyłącznie należące... kryło się za bladą, niemal niedostrzegalną mgłą w głębi tych pięknych palących się bezustannym ogniem źrenic...

Przed śmiercią rękopis dramatu zniszczyła.

Marcelina Kulikowska.

Wieliczka za Sasów.

Kopalnie soli w Wieliczce zawsze były ziemi polskiej największą osobliwością. Znano je na całym świecie, opisywano pod każdym względem, a w Polsce uważano je za jakiś mistyczny dar niebios, miejsce cudowne i cudotwórne, wsławione bezpośrednią interwencją boską i świętych, miejsce dziwnego, niewyczerpanego zda się bogactwa, z którego król i kościół, zasługa i handel korzystały bezustanku i bez miary.

Jakoż zdawało się ludziom, że nie było początku i nie będzie końca wielickim kopalniom. Wiadomości historyczne o nich sięgały w mroki najdalszej przeszłości, tak że podanie o św. Kindze stało się epizodem tylko. Zaraz pierwsze dokumenta pisane zawierają wzmianki żupne; pierwsze księgi drukowane pełne są opisów tego dziwowiska przyrody. Niezliczyłby owych, „obserwacji“ żup krakowskich, owych „przyjemnych i prawdziwych“ opisów, nawet wierszem elegijnym, materjałów zaś archiwalnych pozostało tyle, że starczyło ich na biblioteki (najwięcej w bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie) i prywatne zbiory (między innymi dra Czołowskiego) a raz wraz jeszcze znajdzie się fascykuł lub księga, niezinwentowana dotychczas, ani opisana.

O jednej takiej księdze, krótką wiadomość zawiera niniejszy artykuł i jednego rysunku reprodukcję. Bo saliny wielickie nęciły fantazję malarzy i rysowników, nie mówiąc już o tem, że praktyczna potrzeba kazała czynić od czasu do czasu pomiary geometryczne, z których pierwszy znany wyszedł od Jana Brożka z Kurzelowa słynnego matematyka, astronoma i astrologa akademii krakowskiej z początkiem XVII. w. Za Władysława IV. zrobił geometra German drugi plan o bardzo klasycznym tytule: „Nić Ariadny w labiryncie“. Rytował go igłą na miedzi najsłynniejszy ze sztycharzy w Polsce pracujących, Wilhelm Hondius, na czterech tablicach, na nich zaś pomieścił także widoki kopalni i rodzaje robót pod ziemią, z objaśnieniami w języku polskim.

Po raz trzeci wymierzył kopalnie wielickie Jan Gotfryd Borlach w r. 1719, życie w nich odrysował B. Müllers, sztychował zaś J. E. Nilson. Całość składa się z czteru kart, z których pierwsza przedstawia idealny przekrój kopalni razem z życiem i pracą w jej wnętrzu. Obraz bardzo ciekawy i charakterystyczny, dający do pewnego stopnia doskonałe wyobrażenie o środkach i sposobach współczesnego górnictwa, prymitywnych, lekceważących życie ludzkie i urągających wszelkim wymogom bezpieczeństwa. Dołączona tu reprodukcja w kilkakrotnem pomniejszeniu wprowadza nas w tę pracę podziemną, odbywającą się pod auspicjami Augusta II., i w administracji jego ministra Brühla.

Komentarzem zaś do niniejszego obrazu może być, aczkolwiek nieco wcześniejszy, protokół „komisji w żupach krakowskich anno Dni 1698 odprawionej“, zawierający cały tom w pergamin oprawny, a spisany przy oddawaniu żup Janowi Lubienieckiemu w czteroletnią administrację. (Obecnie własność p. Jakóba Bojki).

Wspomniana komisja, w skład której wchodzili Stanisław Morsztyn wojewoda mazowiecki, Stanisław Podlewski regent koronny, Andrzej Żydowski chorąży krakowski, Piotr Kczewski pisarz pokojowy królewski — zeszła do żup wielickich w czasach bardzo ciężkich. W świeżej jeszcze było pamięci krwawe bezrobocie górników w r. 1690 zakończone wbiciem na pal czteru przewódców, ćwiertowaniem sześciu innych, ścięciem jednej kobiety i chłostaniem reszty, przed dwoma znowu laty wybuchł pożar we wnętrzu kopalni, który trwał tak długo, dopóki wszystko drzewo się pod ziemią nie wypaliło, w samym wreszcie roku 1698, nieledwie w oczach komisji, zapadły się dwa domy w pobliżu szybu Górsko.

To też komisja znalazła kopalnie w stanie niebardzo wesołym. Zjechano wprawdzie bez wypadku szybem Regis, który „reparacji potrzebuje od spodu do połowy“ ale już do komory Nadachów wnijść niezdołano, bo ta „smrodem zaszła i trzeba sposób wynaleźć, żeby wiatr puścić dla wypędzenia tego smrodu“.

Koło szybu Wodna góra, w komorze Bazaniec była wielka kaplica drewniana, w której wybuchł pożar przed dwoma laty. Komisja zdołała stwierdzić, że przyczyną katastrofy była nieostrożność pewnego sztygara, który zapomniał pogasić świece przed ołtarzem. Tutaj też i w sąsiednich komorach zniszczenie było największe.

W sposób bardzo dokładny i szczegółowy, wszystko pilnie notując, przeszła komisja jeden po drugim szyby Lois, Buzenin, Boża wola, Seraf, Górsko, Danielowiec, Leszno, Janina, z przyległymi komorami. Jedne z nich potrzebowały pilnej reparacji, inne były „całe dobre“ gdzieniegdzie były jeszcze ślady pożaru z r. 1644, tu i ówdzie woda zaciekała, grożąc zalewem. Komisja jednak znajdowała radę na wszystko a w powodzi wyrażeń górniczych dysponowała naprawki, ulepszenia, środki bezpieczeństwa. Zwłaszcza komora Żurów ze wszystkich najniebezpieczniejsza dużo narobiła troski komisarzom. Ściana tam bowiem cała zawaliła się, tak że budynki na powierzchni znalazły się w wielkiem niebezpieczeństwie. „Urząd bachmistrzowski protestował się, że nie on winien będzie, kiedy prędkiego ratunku nie będzie i wielka stanie się szkoda (czego strzeż Boże!“). Protestacja jednak nie pomogła, niezbędnych robót nie przeprowadzono, a skutkiem tego i mimo pobożnego westchnienia komisji, stało się to co się stać musiało, bo kilka chałup istotnie w głąb się zapadło wielkie czyniąc szkody w kopalni.

Natomiast kaplica solna wywołała prawdziwy zachwyt u komisarzy: „Ta jest misterną robotą w samej ścianie solnej z całej i nieruchomej masy, z ołtarzem, obrazami, lichtarzami, osobami wyrobiona, dzieło jako podziwienia godne tak od ognia całe bezpieczne. A ponieważ dolny robotnik zjeżdżając do robót i schodząc w tej kaplicy

zwyczajnie składa dowody swej pobożności“, przeto wśród nagłych potrzeb kopalnianych uznała komisja także potrzebę kapelana.

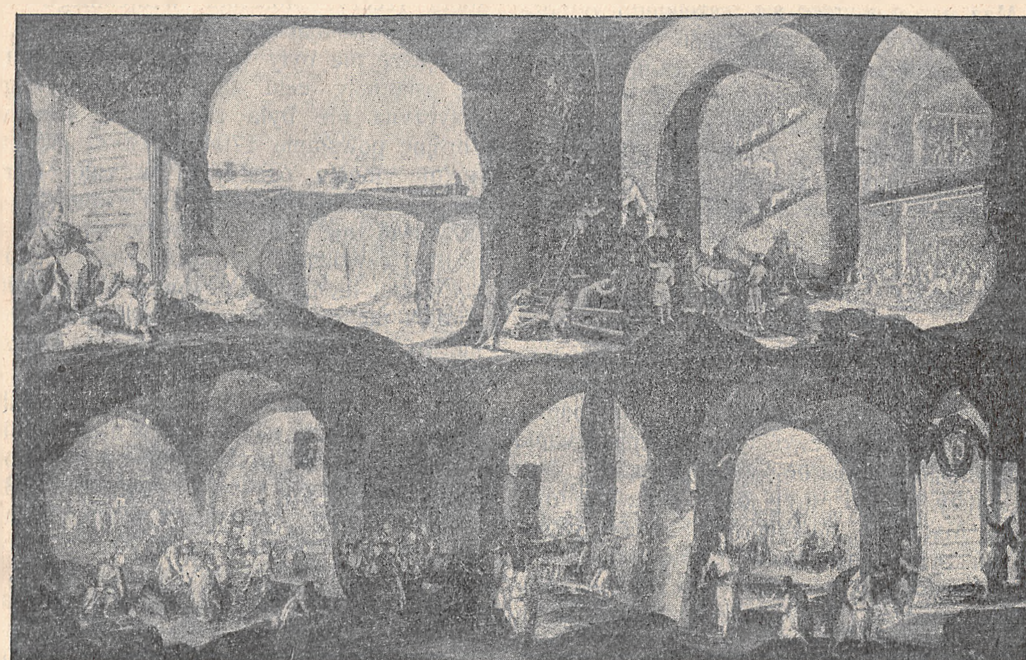
O ile jednak we wnętrzu kopalni konieczność pewnych wiadomości fachowych hamowała rozlewne potoki komisyjnej wymowy, o tyle na powierzchni ziemi, gdy przyszło do opisywania budynków żupnych, nie zapomniano o żadnym haku w ścianie, o żadnej wybitej szybie w oknie. Drobiazgowość posunięta do ostatecznych granic a tak zwykła w aktach i inwentarzach tej doby, jakkolwiek zawarła wiele ciekawych szczegółów z dawnego życia i kultury, to jednak z trudnością pozwala na odtworzenie sobie obrazu, jak wyglądał na prawdę pierwszy lepszy budynek, w tym wypadku naprzykład dom żupny.

Sądząc z kilkukartkowego opisu, był to prawdziwy zamek, z kamienną, piątrową bramą, w której było mieszkanie wrotnego, kordegarda żołnierska, a na górze izdebka ze sienią. Dotąd dobrze, ale już po za bramą zgubić się można w labiryncie stajen, wozowni i innych budynków gospodarskich, wśród których znajdowały się mieszkania szafarskie, kapelania, więzienie, mieszkanie podżupka, kasa z dwoma stołami do rachowania pieniędzy, kwatera dla pisarza żupnego, a wszystko to oświetlone wieczorami wielką latarnią szklaną, w ołów oprawną.

W ten sposób, w przeciągu jednego miesiąca komisja opisała w obrębie Wieliczki wszystko, co tylko miało jaki związek z salinami, a potem tak samo urzędowała w Bochni.

Wszystkie jednak rady komisji, wytknięte usterki, zaproponowane poprawki zostały tylko na papierze bo odtąd, szczególnie katastrofy z zapadania się ziemi, mnożyły się w sposób zastraszający. To też w ciągu ośmnastego wieku jedynie za rządów geometry Borlacha kopalnie wielickie kwitły, sam zaś Borlach trwałą po sobie zostawił pamiątkę w formie dokładnych zdjęć i planów kopalnianych, rytowanych, jak to już wyżej powiedzieliśmy przez Nilsona.

Saliny zaś i nadal zostały dziwowiskiem świata całego. Wizerunek ich, jednak nieoryginalny, znajdujemy w wielkiej encyklopedji francuskiej Diderota i d'Alemberta i w innych dziełach zagranicznych. Na nowo zdjął widoki wielickie po Borlachu, dopiero Michał Stachowicz na przełomie ośmnastego i dziewiętnastego wieku.



WNĘTRZE KOPALŃ WIELICKICH
(według sztychu Nilsona).

Ostatnim polskim administratorem kopalń wielickich był Wojciech Kłuszewski, a w ostatnich czasach polskiego panowania mieszkańcy Wieliczki w srogim byli strachu o całość miasta. Zajmowali bowiem kopalnie po kilkakroć Konfederaci barscy i Moskale, a obawiano się ażeby z powodu huku dział nieotrzęsła się ziemia i miasto w głąb nie wpadło.

Dnia 10. czerwca 1772 zajął kopalnie austrjacki generał Alkann, a w 15 lat później opracował austrjacki inżynier Letzeltern nową mapę salin.

Fr. Jaw.

Jak należy wykładać młodzieży dzieje porozbiorowe Polski?

(Referat, wysłany przez Bolesława Limanowskiego na Kongres Narodowy Polski w Waszyngtonie).

(Dokończenie).

A jeśli praca organiczna jest niemożliwa, albo rezultaty jej mogą być tylko marne, a natomiast czynność destrukcyjno-demoralizująca rządu najezdniczego odbywa się w brutalny, bezwzględny sposób, to czy ma naród z rezygnacją niewolniczą poddawać się swemu losowi? Czy taka rezygnacja nie upokarza, nie upadla, nie osłabia ducha narodowego? Maż naród wyrzec się wszelkiego odpornego działania? Szczególną zawziętość u zwolenników legalnego postępowania obudza czynność potajemna, spiskowa. Przypomnijmy jednak, że w zaborze rosyjskim przez czterdzieści prawie lat nauczanie ojczystego języka, nawet w prywatnych pensjach żeńskich, musiało się odbywać potajemnie, a więc spiskowo. W zaborze pruskim widzieliśmy, że pociągano młodzież szkolną przed sądy jako spiskującą, ponieważ zgromadzała się ona potajemnie, by się uczyć języka, historji, literatury swego narodu. Prześladowanie, liczne ofiary, któremi się okupuje czynność spiskowa są bolesne, lecz mniejszą wyrządzają narodowi krzywdę od upodlającego wyrzeczenia się walki niepodległościowej, od bagnistego zastoju rezygnacji niewolniczej. Do spiskowania dawali natchnienie nie marne jakieś kreatury, lecz szlachetne duchy narodu, tacy jak Henryk Dąbrowski, Wybicki, Machnicki, Łukasiński, Szymon Konarski, ks. Piotr Ściegienny, Teofil Wiśniowski, Stefan Bobrowski i wielu, wielu innych. Już zacny Stanisław Staszic pouczał, że w dążeniu do bytu wolnego naród „działać powinien cały, sposoby właściwemi i niewłaściwemi, jawnemi i skrytemi“. Spiski w dziejach naszych porozbiorowych ważną odgrywały rolę, i to należy zaznaczyć. Odświeżały one stęchłą atmosferę zasklepienia się egoistycznego, służalstwa i wstecznictwa; stawały się czynnikiem umoralniającym; wyrabiały charaktery; mnożyły liczbę obywatelsko wyrobionych działaczy; wzmacniały poczucie narodowe. Przyznają to ludzie wcale nierewolucyjnego usposobienia. Fryderyk hr. Skarbek, opisując straszną demoralizację, jaka zapanowała była w klasie urzędniczej Królestwa Polskiego po powstaniu 1831 r., zaznacza wielce umoralniający wpływ spisków na młodzież urzędniczą. Stefczyk, wspominając w „Przeglądzie Polskiem“ o spiskach galicyjskich, w których będąc młodym, sam brał udział, uwydatnia ich wpływ wysoce uszlachetniający na ówczesną młodzież, zarówno męską jak i żeńską. Piotr Gross, późniejszy członek galicyjskiego Wydziału krajowego świadczy, że organizacje spiskowe unarodowiły mieszczaństwo galicyjskie. Przypomnijmy wreszcie, że późniejsi zasłużeni posłowie sejmowi, jak Franciszek Smolka, Ziemiałkowski, Niegolewski, Bentkowski, wyszli z szeregów spiskowych.

Czynność spiskowa, mająca na celu odzyskanie wolności, niepodległości narodowej, z natury rzeczy stapia, uświadamia, przygotowuje siły, potrzebne do stoczenia stosownej walki z najazdem, ażeby złamać jego przemoc, wyrzucić go z granic swej ojczyzny. „Co nam obca przemoc wzięła, siłą odbierzemy“ — głosili już nasi legjoniści. Ostatecznym więc celem spisku wypaść musi walka zbrojna, powstanie zbrojne narodu. Po wsze jednak czasy byli ludzie „trzeźwi“ — jak sami siebie nazywali, którzy powstanie uważali za szaleństwo, za porywanie się z motyką na słońce, a nawet nie na jedno, ale aż na trzy słońca, a przynajmniej na dwa naraz.

Tymczasem dokładne przedstawienie całego stanu rzeczy, stosunku wzajemnego sił i środków narodu powstającego i najazdu, wykaże, że powstania nasze nie były wcale czynem szalonym, i jeżeli nie osiągnęły celu zamierzonego, to główna tego przyczyna nie była zewnętrzna, lecz wewnętrzna. Zbrojne powstania 1794 i 1830 r., jako współczesne rewolucyjnemu nastrojowi w całej Europie, miały wielkie widoki powodzenia, i upadek ich należy przypisać nie tyle przemocy wrogów, ile brakowi odwagi rewolucyjnej w poruszeniu i uzbrojeniu całej chłopskiej ludności. Po klęsce Maciejowickiej nawet, sprawa nie była jeszcze ostatecznie stracona. Stronnictwo rewolucyjne domagało się dalszej walki na życie i śmierć i kluby rewolucyjne obwoływały naczelnikiem Jakóba Jasińskiego, najbardziej świadomego co czynić należało, ale niestety nie miało ono na tyle odwagi, ażeby ująć po dyktatorsku władzę nad całym narodem. W powstaniu 1830 r. było jeszcze gorzej. Wydane w ostatnich latach Pamiętniki Chłapowskiego przekonywują, jak zbawiennem było wołanie Maurycego Mochnackiego, aby odrazu rozpocząć wojnę zaczepną, wkroczyć na Litwę, opanować Wilno. Było to możliwe, nawet łatwe, i zdwoilibyśmy swe siły w ten sposób. Gotowość włościan była wielka, i gdyby usłuchano nawoływania Jana Olrycha Szanieckiego i ogłoszono ich uobywatelenie i uwłaszczenie, potęga powstańcza wzrosłaby w siłę nieprzepartą. Lecz trzeba było, aby istniało odważne stronnictwo rewolucyjne, któreby przyjęło na siebie całą odpowiedzialność i za powstanie i za rewolucję socjalną. A takiego stronnictwa w rzeczywistości wówczas nie było. W 1848 r. były nader przyjazne takie warunki dla powstania narodowego, i było już stronnictwo rewolucyjne, ale nie okazało ono na tyle rzutności zuchwałej, ażeby nie zwlekać, lecz kuć żelazo dopóki gorące. Powstania w 1846 i w 1863 r. wypadły w chwili nieodpowiedniej, kiedy panujący w całej Europie spokój reakcyjny nie wzbudzał trwogi w rządach najezdniczych i nie osłabił przez to ich energii i pewności siebie.

I pomimo to powstanie 1863 r., aczkolwiek przyspieszone przez prowokację branki proskrypcyjnej i z tego powodu niedostatecznie przygotowane, ciężko zaważyło na szali dziejowej, i carat wystraszony, wysyłając Murawiewa do Wilna, błagał go, by przynajmniej Litwę utrzymał w niewoli moskiewskiej.

Powstania zbrojne były to pierwszorzędne wypadki w naszych dziejach porozbiorowych. Świad-

czyły one, że naród nie znikczemniał, że wolał staczać krwawe boje o wolność, aniżeli w pokorze służalczej dźwigać sromotne kajdany, że wierzył i w swe siły i swe dziejowe powołanie. Gdyby nawet — jak to twierdzą gasiciele ducha — każde powstanie zbrojne pogrążało go w coraz większą otchłań nędzy beznadziejnej, — co zresztą jest zupełnym fałszem, — to i w takim razie świadczyłoby to, że wolał on zginąć chlubnie, aniżeli gnić w niewoli marnie.

Dzieło przeobrażenia się narodowego, przez zniesienie przegród przywilejowych, dążące ku temu, ażeby był jeden braterski naród, nie podzielony na klasy, ale jednakowo wolny, rozpoczęte przez Sejm czteroletni i przez powstanie Kościuszkowe, musiało być prowadzone pod własnym sztandarem narodu, jeżeli miał on utrzymać się na tym szczeblu cywilizacyjnym, na jakim go tysiącletnia praca dziejowa postawiła, i nie spaść na niższe szczeble, rozpadłszy się na trzy małe narodki. W tem dziele przeobrażenia się narodowego chodziło przedewszystkiem o zwalenie przegrody pomiędzy dwoma narodami: szlacheckim i chłopskim, ażeby mogło nastąpić zlanie całkowite w jeden naród polski. W czasach jeszcze Sejmu czteroletniego Adam Rzewuski wypowiadał gorące pragnienie, „aby żadnej klasy uprzywilejowanych ludzi nie było, aby zwinięto chłopów i mieszczan, byli tylko ludzie i Polacy“. Zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, uobywatelenie włościan — to była najważniejsza kwestja socjalna od powstania Kościuszkowego aż do powstania 1863. Bez przeprowadzenia rewolucji socjalnej w tym kierunku, bez rozcięcia tego wrzodu, krępującego wszystkie członki narodu, walka z najazdem była wielce utrudniona. Rozumieli to dobrze wszyscy rzetelni patrjoci i wskazywali ścisłą łączność sprawy wolności narodowej ze sprawą wolności włościan. Rozcięcie tego węzłu usunęłoby możność takiej wojny domowej, jakiej okropny widok przedstawiała Galicja w 1846 r., i uczyniłoby naród bardziej jednolitym, a więc posiadającym i większą odporność i większe siły, pomimo wszystkich strasznych klęsk, które spadły od najazdu. W historji porozbiorowej należy to silnie zaznaczyć.

Historyk francuski Aulard, najgruntowniejszy znawca Wielkiej Rewolucji Francuskiej, oceniając ogłoszoną Deklarację praw człowieka, uznającą równość obywateli i wszechwładztwo narodu, powiada, że wypływały z niej następstwa polityczne: *powszechne głosowanie* i *rzeczpospolita*. Były to główne cele ruchu demokratycznego, które Francja już osiągnęła. „Były także następstwa — mówi dalej Aulard — ekonomiczne i społeczne, na które należy się zapatrywać nie z namiętnością partyjną, ale ze stanowiska dziejopisarza. Następstwa te, które później nazwą *socjalizmem*, były zasłonięte przez dłuższy czas, aniżeli następstwa polityczne, i dzisiaj mniejszość tylko Francuzów zerwała zasłonę, którą większość stara się przeciwnie zachować, uczynić ją szczelniejszą uczuciem powagi religijnej i strachu“.

To samo można powiedzieć i o narodzie polskim. Idąc po drodze cywilizacyjnej postępu z całą Europą, musiał on także dojść do tych samych następstw, do jakich ona dochodziła. Tchórzliwe chowanie głowy pod skrzydła przesądów i wmawianie, że dążenia socjalistyczne nie zgadzają się z interesem narodowym, nie powstrzymały ich szerzenia się tak samo jak dzisiaj potępienia i klątwy nie zdołały powstrzymać ruchu demokratycznego.

Pierwsza połowa historji porozbiorowej, obejmująca powstanie Kościuszkowskie, legiony, Księstwo Warszawskie, Królestwo kongresowe, a nawet powstanie 1830 i 1931 r., znajduje się już w znacznej odległości i posiada sporo nagromadzonego materjału źródłowego, więc praca nad tym okresem dziejowym ma dostateczne warunki naukowe do jej wykonania. Daje się to trudniej powiedzieć o późniejszej dobie, obejmującej propagandę i spiski demokratyczne, powstanie 1846 r., wypadki rewolucyjne w 1848 r., wojnę Wschodnią, ożywienie się ruchu narodowego, wreszcie powstanie 1863 r. Historycy zawodowi mają słuszność, mówiąc, że niedostateczny jest jeszcze materjał nagromadzony, i że brak perspektywy dziejowej, dozwalającej wszystko widzieć w bardziej należytym świetle. Jeszcze słuszniej da się to powiedzieć o najnowszych wypadkach dziejowych. A jednak upowszechnienie wiadomości z dziejów — że tak powiedzieć — niemal nam współczesnych jest wielce potrzebne dla narodu, a zwłaszcza dla naszego narodu, który dotąd jeszcze nie spełnił kardynalnych swych zadań. Wiadomości o nowszej dobie dziejów naszych porozbiorowych są konieczne, niezbędne dla wszystkich, co swojem współdziałaniem obywatelskiem pragną przybliżyć chwilę jego wyzwolenia.

Niezawodnie, że w późniejszym czasie, kiedy zostaną wydobyte z ukrycia liczniejsze dokumenty, kiedy pojawi się większa liczba wspomnień i pamiętników, pisanych przez świadków i współuczestników, oraz kiedy następstwa danych wypadków okażą się w całości, będzie można z większą ścisłością naukową, dokładniej i wszechstronniej przedstawić obraz dziejowy. Nie powinno jednak to powstrzymywać tych, co chcą spełnić czynność obywatelską rozjaśnienia zadań, dróg i środków w podjętej a prowadzonej walce. Gorszyć ich nie będzie, gdy o nich z pewną pogardliwością mówić będą, że właściwie nie są historykami, lecz publicystami. Nie o wziętość nie o sławę nam tu chodzi. Lecz i w tym względzie, trudno przyszłość przesądzić. Wiemy przecież, że opowieść współczesnych wypadków Cezara, Tacyta, Ludwika Blanca, Mochnackiego, trafnością swoich spostrzeżeń prześciga wiele późniejszych żmudnych badań.

Wachlarze treści polskiej w zbiorach rosyjskich.

W kwietniowym zeszycie miesięcznika petersburskiego „Staryje Gody“ p. W. Wereszczagin umieścił artykuł o wachlarzach artystycznych z wieku XVII. i XVIII. w zbiorach rosyjskich, wśród których znajduje się parę egzemplarzy, treścią z Polską związanych.

W tak zwanej „Galerji kosztowności“ Ermitażu petersburskiego przechowuje się piękny wachlarz malowany w złotej oprawie, przedstawiający królowę na tronie pod baldachinem, przyjmującą poselstwo w strojach wschodnich, które jej dary ofiaruje. Na stronie odwrotnej malowidła widzimy tę samą postać królewską przed oblężoną fortecą turecką.

W dawnym katalogu zbiorów Ermitażu, wydanym jeszcze w języku niemieckim, wachlarz ten określony jest jako pochodzący z czasów cesarzowej Elżbiety, córki Piotra I., która właśnie na tych dwóch malowidłach ma być uwiecznioną. Nie zgadza się to jednak z prawdą historyczną ani pod względem stylowym, ani z punktu widzenia ikonografji, gdyż postać niewieścia na wachlarzu niczem nie przypomina cesarzowej rosyjskiej, a w dodatku liczne chorągwie, widniejące przy owem oblężeniu, nie podobne są wcale do rosyjskich z owej epoki.

Pan Wereszczagin przeto wypowiada przypuszczenie, że w scenach zdobiących wachlarz z Ermitażu, mamy może przed sobą jedną z licznych gloryfikacji zwycięstwa Jana Sobieskiego nad Turkami, i że kosztowny wachlarz z kompozycją tej treści mógł być ofiarowany królowej Marysieńce.

W istocie styl malowideł i oprawy w zupełności odpowiada czasom Sobieskiego i z typu i stroju postać niewieścia ma dużo cech wspólnych z Marją Kazimierą. Lecz, oczywiście, to trochę za mało dla potwierdzenia hipotezy p. Wereszczagina, którą z drugiej streny, zdaje się, obala nieobecność samego bohatera gloryfikacji, króla Jana. Ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestji, w każdym razie, należy odłożyć aż do dokładnego zbadania wachlarza we wszelkich jego szczegółach.

Pan Wereszczagin opisuje jeszcze drugi wachlarz, również dla Polaka nie obojętny. Znajduje się w zbiorze prywatnym hrabiny E. W. Szuwałowowej i pochodzi z drugiej połowy wieku XVIII. Jest to prawdziwe cacko subtelnej sztuki tego wieku, ze złota i perłowej macicy, a cała frivolité okresu przedrewolucyjnego zdaje się wyrażać w fakcie, iż dla ozdoby przedmiotu zabaw salonowych zaczerpnięto treść z tragicznego momentu dziejowego.

Malowidło bowiem wachlarza stanowi miniaturowa kopia ze znanego sztychu Le Mire'a „Rozdział Polski“, gdzie to wokoło mapy Europy zgrupowani są Katarzyna II., Józef II., Fryderyk i Stanisław August, któremu w tym towarzystwie korona powoli z głowy się zsuwa. *P. E.*

Inkunabuły.

Sześćset ośmdziesiąt sześć inkunabułów, to jest druków wytłoczonych przed rokiem 1500 wystawił obecnie na sprzedaż p. Józef Baer w Frankfurcie nad Menem. Przetrząśnięto raz jeszcze sporo bibliotek klasztornych i na nich to zrobi — zdaje się — p. Baer dobry interes, bo sam katalog stanowi grubą księgę, ceny osiągnęły chyba rekord, obliczony na amerykańskich zbieraczy, którym wykazano naocznie, jakie księgi wymienione są w Heina „Repertorium bibliographicum“ w Copingera „Supplementach“ i Reichlingera „Appendices“, a których tam nie ma. Okazało się przytem, że p. Baer posiadł czterdzieści jeden druków zupełnie dotychczas w bibliografii nieznanych sprostował wiele wiadomości o pierwotnych drukach i oficynach, a tak obok złotego interesu, mieć będzie jeszcze dobre imię w nauce. Bodaj to białe kruki!

Wśród wielu rzadkości, wymienił antykwarjusz frankfurcki także kilkanaście druków, mających pewien związek z Polską piętnastego wieku, która w ogólnym dorobku typograficznym wykazać może wprawdzie dwie tylko drukarnie w Krakowie, Guntera Zainera i Świętopełka Fiola, ale w nieśmiertelnym wynalazku Guttenberga uczestniczyła o tyle, że dzieła mistrzów akademii krakowskiej i innych Polaków drukowały się po wielu oficynach zagranicznych i że paru drukarzy w dalekich nawet krajach pracujących, przyznawało się na tytułach drukowanych książek polskich do polskiej narodowości.

P. Baer jednak antykwarjusz frankfurcki snać hakatystyczną ma odrazę do imienia polskiego. Nie żeby „Polonica“ sobie bagatelizował i sprzedawał je po niższych cenach, albo się na nich nie rozumiał. Owszem umiał za nie przysolić ceny do tego stopnia, że bodaj czy je kto będzie mógł kupić, literaturę polską odnośną zna dokładnie i pilnie przy układaniu swego katalogu wertował Władysława Wisłockiego „Incunabula typographica“. Mimo tego w spisach, indeksach i w tekście wszędzie gdzie tylko przyszło mu użyć słowa Polska, zastąpił je... Rosją. Skutkiem tego stał się śmiesznym i nieprzyzwoitym. Pan Baer wie bowiem dobrze, że w Rosji dopiero w drugiej połowie szesnastego wieku począł pierwszy drukować Iwan Fiedorów, wie także że Kraków i mistrzowie krakowscy nigdy na szczęście z Rosją nic nie mieli wspólnego. O wiele zaś jest p. Bauer nieprzyzwoitszym od takiego naprzykład Helbinga w Monachium, który z drobiazgową dokładnością odróżnić potrafi rzeczy polskie wszystkich trzech zaborów od rosyjskich, austrjackich czy pruskich, takiego Rosenthala, czy wreszcie Hiersemanna w Lipsku, którzy nie wstydzą się wydawać katalogów polskich i ogłaszać w nich we własnym interesie rzeczy polskie bez względu na zabory.

Mniejsza jednak o pana Baera i jego polityczną psychologię, ze względu na to, że katalog jego jest istotnie bardzo ciekawą książką.

Z obcych w nim zawartych rzeczy wymienimy tylko jedną: Jana Balbus de Janua „Catholicon“ foliał o 373 kartkach drukowany przez Guttenberga w r. 1460 tak zwanym drugin typem jego czcionek. Jak bowiem wiadomo wynalazca druku pospierawszy się w r. 1455 ze swoim finansistą Fustem, który mu zabrał całą drukarnię i wszystkie czcionki, wszedł w materjalne stosunki z drugim finansistą Humerym, i otrzymał od niego środki na założenie drugiej drukarni. Drukarnia była gotową w r. 1455, a czcionki do niej sporządził sam Guttenberg nadając im krój odmienny niż porzednio. O ile bowiem przy sporządzaniu czcionek do Biblii brano wzory wielkich liter z rękopisów mszałów, o tyle obecnie starał się Guttenberg naśladować zwykłą kursywę, bez ozdób jako najodpowiedniejszą do tekstu. Pismem tem drukował Guttenberg wspomniane wyżej dzieło Jana Balbusa, a także niektóre książki Mateusza z Krakowa, o którego polskie pochodzenie ciągle jeszcze spór wiodą historycy literatury.

Wyzyskując rzadkość „Catholicona“ postawił zaś p. Baer skromną cenę... 45.000 marek!

Co się tyczy rzeczy polskich to niema w katalogu żadnego druku krakowskiego z XV. wieku, chociaż na oficynę Güntera Zainera, pracującą w Krakowie w latach 1474 i 1475 rzucić by mogły trochę światła druki tegoż Güntera Zainera z czasów jego pobytu w Augsburgu w r. 1468. Z drukow tych posiada p. Bauer biblię niemiecką po raz pierwszy ilustrowaną.

Polonica za granicą drukowane reprezentuje przedewszystkiem jednostronnicowy druk Jana z Latoszyna, profesora i kanonika krakowskiego p. t. „Litterae indulgentiarum e bulla Innocentii VIII. pro bello contra Turcos et Tartaros“ drukowany w Norymberdze u Antoniego Koberga w 1485. (Cena katalogowa 250 marek). Drukiem tym zajmowano się w literaturze naszej i zagranicznej bardzo żywo, ostatnio zaś w r. 1905 opisał go dokładnie uczony szwedzki Colijn w dziele o jednokartowych drukach piętnastego stulecia, wydanem w Sztokholmie, w którym to dziele znajduje się też i podobizna naszego białego kruka. Z bibliotek polskich, według Estreichera posiada go jedyna tylko Biblioteka jagiellońska.

Z innych inkunabułów polskich wymienić należy z omawianego katalogu: Marcina Polaka (um. 1279) „Sermones de tempore et de sanctis“ Strasburg 1484 (50 m.), oraz książki zawierające tu i ówdzie zmianki o Polsce, jak Roolewincka: „Fasciculus temporum“ w kilku wydaniach, kronika Hartmanna Schedla, Św. Metodego: „De vita Antichristi“ (1496) zawierające przepowiednie na temat panowania tureckiego, dzieła Eneasza Sylwiusza Piccolomini w wielu wydaniach, kronika Euzebiusza Pamfila (1143) Bergomensis „Supplementum chronicarum“ (1480) i kilka jeszcze innych mniej ważnych.

Szczupła to liczba, ze względu na to, że sam Estreicher naliczył druków z XV. wieku do Polski w mniejszym lub większym stopniu się odnoszących przeszło dwieście. Pozatem liczą się do inkunabułów polskich wszystkie druki krakowskie do r. 1505, który to rok we wszystkich wydawnictwach naukowych etc. uważany jest za rok końcowy wieków średnich.

Z literatury galicyjskiej.

(Galizien wie es an Österreich kam, von dr, A. J. Brawer. Wien 1910).

Jak wogóle porozbiorowe dzieje Polski, tak specjalnie dzieje początkowe Galicji, cieszą się w ostatnich czasach wielkiem zainteresowaniem ze strony młodych i starych historyków. Archiwa wiedeńskie, nowo założone we Lwowie archiwum rządowe dostarczają do tych czasów mnóstwo nieznanego materjału, na podstawie którego osnute są dwa dzieła bardzo poważne, a mianowicie „Galicja“ dra Tokarza i ks. Chotkowskiego: „Historja polityczna kościoła za Marji Teresy“, książka jak wiadomo, odznaczona nagrodą Akademii umiejętności.

Obok nich godnie staje rozprawa dra Brawera, w niemieckim języku napisana, a będąca jak sam autor w przedmowie zaznacza, częścią większego studjum o kulturalnych usiłowaniach Józefa II. wobec Galicji. Dla zrozumienia tego, co austjacki reformator na tronie chciał zrobić z Galicji, przeprowadził autor źródłowe badania nad wewnętrznem położeniem świeżo zabranego kraju, a rezultatem tych badań jest niniejsza rozprawa. Pierwszorzędny materjał w sprawozdaniach urzędowych do centralnych władz cywilnych w Wiedniu jest jej podstawą, bardzo dobre zaś metodyczne przerobienie i zdolność autora do wyciągania odpowiednich wniosków, zadecydowały o wartości opracowania.

Powstał w ten sposób bardzo ciekawy i charakterystyczny obraz ekonomicznych, społecznych i handlowych stosunków kraju, obraz ile było można tylko wszechstronny.

Podaje autor przedewszystkiem statystykę ludności galicyjskiej, z uwzględnieniem wyznania i narodowości, stanów i zawodów, stosunki osiadłości i zamieszkania, układ społeczny, stosunki gruntowe i gospodarcze, ciężary stanu włościańskiego i t. d. Bardzo ważne i rzadko w literaturze dotychczas uwzględniane są roztrząsania autora na temat gospodarczego życia w kraju. Znajdujemy tu bowiem ustępy o wydatności roli i odżywianiu się ludu, o stanie i jakości bydła domowego o pszczelnictwie, rybołostwie, polowaniu i t. d.

Osobne rozdziały poświęcił autor przemysłowi, rękodziełu, handlowi, omówił także w sposób mniej lub więcej wyczerpujący stosunki mo-

netarne i kredytowe, ostatni zaś rozdział poświęcił kulturze duchowej, umieszczając w nim cenne uwagi na temat kościoła, szkoły, sposobu i stopy życiowej szlachty, mieszczastwa i włościańswa, uwzględniając przytem zawsze odrębne warunki wśród jakich żyli Polacy, Rusini i Żydzi.

Notatka niniejsza ma wyłącznie na celu zwrócić uwagę na książkę p. Brawera, która jako w języku obcym napisana i po za krajem wydana ujść może uwagi powszechniejszej, na jaką w całej pełni zasługuje. Jest bowiem obrazem wszechstronnym jakiego prawie że brakło w naszej literaturze, opracowanym sumiennie i źródłowo z wielkim nakładem pracy, ścieśnionej w szczupłych ramach kilkuarkuszowej broszury. Autor włożył w rzecz swoją dużo fachowej wiedzy ekonomicznej a na terenie suchych tablic statystycznych obraca się pewnie, umiejąc wydobyć to co z danego materyału wydobyć można.

Mimo jednak całej sumienności i zdolności nie ustrzegł się autor pewnego, bardzo niemiłego stanowiska. To za wielka ufność w Berichty austrjackich biurokratów, to przekonanie o kulturalnem posłannictwie Austrji wobec zabranego kraju. W ten sposób staje dr. Brawer na stanowisku austrjackiego wyłącznie męża stanu i statysty i stąd też niektóre jego wywody należało by brać trochę cum grano salis...

W każdym jednakowoż razie, ci co z różnych powodów czytają dzieło dr. Bujaka o współczesnej Galicji, zapoznać się wpierw powinni z książką dra Brawera o Galicji takiej, jaka ona do Austrji przyszła.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Prawo składu w Polsce opracował dr. Stanisław Lewicki. Lwów 1910. Niestrudzony badacz dziejów handlu polskiego po wyczerpującem studjum o lwowskiem prawie składu, wydał obecnie dzieło obszerne o całokształcie tegoż prawa w miastach polskich. Na podstawie poszukiwań w zbiorach archiwalnych Warszawy, Torunia i Lwowa przedstawił autor obraz szczegółowy stosunków wymagających, by kupcy z towarami zatrzymywali się w miastach, prawem składu obdarzonych i sprzedawali tutaj swoje towary przez określony z góry czas i na oznaczonem miejscu. Jeżeli kupiec z niesprzedanym towarem mógł dalej jechać, to prawo składu było względnem, jeśli zaś w określonym czasie musiał koniecznie sprzedać wszystkie swoje towary to prawo było bezwzględne. Obie te formy przyjęła Polska z Zachodu.

Dr. Lewicki omówił najpierw ogólną formę i treść prawa składu w oświetleniu stosunków polskich, następnie dał historję prawa składu w Polsce w ogólnym zarysie, wreszcie wykaz wszystkich składowych miast polskich, wraz z omówieniem wpływu tegoż prawa na rozwój stosunków handlowych w ogóle.

Niniejsze cenne i pięknie wydane dzieło, jest dalszym szczeblem do wyczerpującej historji handlu polskiego, do którego napisania dr. Stanisław Lewicki jest jak rzadko ukwalifikowany i w pierwszej linii powołany.

NOTATKI.

Szczątki błog. Jakóba Strepy. Z uroczystości urządzonych tymi dniami ku czci błogosławionego Jakóba Strepy arcybiskupa lwowsko-halickiego, charakter dokumentarny i pamiątkowy miało samo przełożenie szczątków jego do nowego relikwiarza, wykonanego jak wiadomo przez profesora Błotnickiego. Przełożenie odbyło się w zakrystji kościoła Franciszkanów z całym ceremoniałem liturgicznym, dokonał go zaś arcybiskup Bilczewski in pontificalibus w otoczeniu kapituły. Z osób świeckich obecnymi byli profesorowie anatomii dr. Kadyi i dr. Obrzut i konserwatorowie dr. Finkel, dr. Abraham i dr. Czołowski. Relikwie składają się z zupełnego szkieletu, oraz szczątków stroju biskupiego. Co się tyczy szkieletu, to anatomicznych badań dokonał prof. Kadyi, a wyniki ich ma przedłożyć później. Na razie skonstatował dr. Kadyi bardzo charakterystyczny szczegół, a mianowicie, że jabłka goleniowe u kolan są na szkielecie w niezwykły, wprost nienormalny sposób zgrubiałe — dowód ascetycznego życia Strepy i ciągłego klęczenia na twardych miejscach.

Z całej uroczystości sporządzono szczegółowy protokół.

Monety Konstantyna. W Podhorodyszczu, sąsiadującem z dawną stolicą książąt ruskich Dzwinogrodem pod Lwowem, znajdują stale rozmaite zabytki z czasów przedhistorycznych i t. zw. wielkoksiążęcej epoki. Miejscowy nauczyciel p. Mikołaj Maksymiak od dawna zbiera co tylko dostanie mu się do rąk ze znalezionych przypadkowo starożytności, ale niestety nie zachowuje tego u siebie, lecz ze stratą dla publiczyych zbiorów rozdaje je osobom prywatnym. Zwyczajnie wiadomość o przedmiotach tych ginie wraz z przygodnym amatorem, który nie stara się bynajmniej podać wiadomości o nich i w ten sposób pozbawia naukę ciekawych nieraz szczegółów. Zeszłego roku udało się p. Maksymiakowi znaleźć kilka srebrnych monet Konstantyna, które swoim zwyczajem darował jakiemuś słuchaczowi uniwersytetu wiedeńskiego. Co stało się z temi bardzo rzadkiemi u nas pamiątkami dawnych czasów nie wie sam ich znalazca, a i nowy ich właściciel nie podaje o nich żadnej wiadomości.

W Podhorodyszczu jest obok „grodziska“ także i jaskinia podziemna, którą badał po części p. Maksymiak, ale niczego nie znalazł w niej ciekawego.

Restauracya katedry lwowskiej. Roboty restauracyjne prowadzone obecnie w katedrze lwowskiej kilkakrotnie już dawały ze strony fachowej powód do gorzkich uwag, zwłaszcza gdy kamienne wazony z wieży zamieniano na miedziane samowary. Po tem znowu oskrobanie i pobielanie rzeźb figuralnych prz dstawiających dwunastu apostołów nazwano całkiem słusznie grubą niewłaściwością.

Do tego przybywa obecnie posmarowanie cementem wieży w całej jej wysokości i zamazanie takimże cementem kamiennych balustrad i portali, które rzekomo taniej ma kosztować aniżeli zwykłe odczyszczenie i pozostawienie kamienia w naturalnej jego barwie, co się zawsze i wszędzie w takich wypadkach praktykuje. Kierownictwo budowy w każdym razie więcej powinno poświęcić uwagi tej sprawie, już choćby ze względu na dostojność i ważność zabytku.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.